

Dzik jest zły

6 stycznia 2019

Najpierw wszystkich oświeciło na drzewa.

Przez blisko 30 lat interesowały one tylko obsikujące je psy, a wszyscy zainteresowani wiedzieli, że setkami truje się je pod budowę byle hipermarketu, byle ominąć odrealnione przepisy uniemożliwiające efektywny zarząd przestrzenią na własnej posesji. Nie. Pozostałych wszystkich oświeciło dopiero na widok śpiącej wiewiórki i wszyscy okazali się dendrologami, bo „PiS morduje nasze lasy!”. Teraz jest jeszcze gorzej, bo po blisko 5 latach bezskutecznego kołatania rolników – być może uda się wymusić depopulację dzików, roznoszących epidemię Afrykańskiego Pomoru Świń (ASF). I nagle wszyscy są wieprzologami! A potem będą oburzeni stając na kolejnej blokadzie rolniczej...

Żyjemy w infantylnych czasach. W których ze słusznego postulatu rozwoju i gospodarki zharmonizowanej z przyrodą – przeprowadzono nas do stadium, w którym wszystko – drzewo, zwierzę, kamień nawet – są ważniejsze od człowieka i jego bytowych potrzeb. Właśnie tak, nie żadnych fanaberii i kaprysów uprzywilejowanego świata, ale elementarnych potrzeb, jak utrzymanie własnej rodziny, praca, dom. Szczególnie w dzisiejszej Polsce nagminnie odmawia się ich milionom ludzi, w tym w szczególności tym utrzymującym się z wysiłku własnych rąk, z rolnikami na czele. Tymczasem są proste, ekonomiczne, ale także przyrodnicze – fakty.

Zaraza i łowieckie imperium

Postulat depopulacji dzików nie jest bynajmniej nowy. Organizacje rolnicze zgłaszają go od 2014 r., kiedy to w Polsce pojawiły się pierwsze ogniska ASF, prawdopodobnie zawleczone przez dziki przechodzące z Białorusi. Historia tej epidemii to pokaz indolencji polityki rolnej, fito-sanitarnej

i łowieckiej wszystkich kolejnych rządów w Polsce. Fundamentalny błąd popełniono już w pierwszych tygodniach po wykryciu choroby, w lutym 2014 r. Zamiast w sposób kontrolowany odstrzelić zarażone sztuki – na terenie Podlasie wprowadzono... zakaz polowań na dziki. W efekcie nie tylko choroba rozlała się najpierw po całym regionie, potem także na Lubelszczyźnie i Mazowszu – ale i skokowo wzrosły straty spowodowane przez stada dzików na uprawach rolnych (zwłaszcza kukurydzy). Wytłumaczyć chyba przy tym należy istniejący w Polsce system. Otóż za kontrolę populacji dzikich (ale przecież w istocie sztucznie indukowanych i podtrzymywanych metodami pół-hodowlanymi) zwierząt odpowiada Polski Związek Łowiecki, ale już za straty powodowane przez te zwierzęta płaci Skarb Państwa. Niestety jednak, jak od lat podnoszą krytycy (także ze środowiska samych myśliwych) – PZŁ nie wykonuje swoich ustawowych i statutowych zadań, m.in. z tak prozaicznego powodu, że... bardziej mu się opłaca utrzymywać niewielką podaż dziczyzny – a z nią i ceny, zaś odszkodowania dla rolników czy to za szkody wyrządzane przez nadmiernie rozmnożone dziki, czy za konieczność wybicia świń zarażonych przez dziki ASF – płaci budżet państwa, czyli my wszyscy a nie Związek, z własną nomenklaturą i silnymi powiązaniami partyjnymi i biznesowymi.

W 2014 r. nie strzelano, kiedy mówiono o pojedynczych sztukach. W 2015 r. ludowo-platformowi marszałkowie podlascy i lubelscy twardo odmawiali działania, kiedy chodziło o małe stada, góra po kilkadziesiąt dzików w każdym z zagrożonych województwa. Zamiast tego wprowadzono restrykcyjne ograniczenia obrotu żywcem i mięsem wieprzowym, w przeciągu kilku miesięcy praktycznie rujnując branżę hodowlaną na wschodzie Polski. Całe stada świń, których nie można było sprzedać z tygodnia na tydzień traciły na wartości, w sytuacjach skrajnych zarządzano ich wybicie – a nie następowała refundacja kosztów, ani wypłata teoretycznie należnych i obiecywanych producentom odszkodowań. Ci kilkakrotnie w ostatnich latach podrywali się do protestów,

domagają się także gruntownej reformy całego systemu gospodarki łowieckiej w Polsce, nadania elementarnego sensu nieskoordynowanym działaniom inspekcji sanitarnych i żywnościowych – jednak ani PO-PSL, ani PiS nie zrobiły literalnie nic, by pomóc branży.

Proste rachunki

Oczywiście, najpierw PiS będą w opozycji krytykować bierność ludowców, zwłaszcza PSL-owskich marszałków, potem ci przejęli pałeczkę oskarżając o nieudolność PiS-owski już rząd i resort rolnictwa – i nadal nic z całej tej przepychanki na świńską padliną nie wynikało, poza rozlaniem się choroby na Podkarpacie i Warmińsko-Mazurskie i uderzeniem jej kolejnej fali ze wzmożoną siłą w 2017 r. Pojawiały się co najwyżej półśrodki, w rodzaju prób oczyszczania lasów z padłych dzików przez wprowadzenie opłat za znaleziono i zgłoszone truchła. Nomen omen na puszczy rozlegał się głos samych tylko producentów trzody – i nielicznych organizacji rolniczych, w tym najpierw OPZZRiOR (które posunęło nawet do żądania... delegalizacji PZł w związku z jego zadań), a obecnie AgroUnii, wysuwającej bardzo konkretne propozycje zmian w działaniach Inspekcji Weterynaryjnej.

Tymczasem wyliczenia są proste – od pojawienia się ASF odnotowano już ok. 3.100 padłych na nią dzików, pojawiło się 110 nowych ognisk zarazy i wiadomo już na pewno jedno – epidemia nie jest do opanowania jakimś „wykładaniem szczepionek” czy liczeniem na... wilcze stada – bo i takie naiwno-naturalistyczne pomysły niedzielnych ekologów zaczęły się pojawiać, gdy projekt depopulacji dzików zaczął w końcu przebijać się do osłoniętej świadomości rządzących. Również „bioasekuracja” nie jest niczym więcej niż tylko zgrabnym sloganem. Opowiadanie, że wystarczy „większy porządek w chlewniach” wynika po prostu albo z niezdawania sobie sprawy ze skali epidemii, albo z celowego zakłamania. Dla porównania, zarówno Czechach, jak i na Litwie pomocą w całej akcji służyło

wojsko – co proponowano w Polsce już w 2016 r. i co wzbudziło co najwyżej szydercze śmiechy wszystkich, wiedzących, że przecież żywności się nie produkuje, bo jest ze sklepu... Nic więc dziwnego, że Czechom między kwietniem, a grudniem 2018 r. udało się całkowicie wyeliminować chorobę, którą wcześniej zlokalizowano i ograniczono do kilku obszarów. Niestety, w Polsce już na to za późno – a wynika to z jeszcze jednego, bardzo poważnego błędu.

Embargo i depopulacja

Jest bowiem jeszcze jedno państwo, w którym chaos z ASF jest nie mniejszy niż w Polsce. To Ukraina, w której zakażone są nawet wielkie hodowle, w której od kilku lat strzela się do ludzi, a nie do dzików- i która praktycznie bez kontroli eksportuje do Polski swoje zboże, w ogromnej części zarażone Pomorem. Udało się stwierdzić, że – zwłaszcza w niskich temperaturach – wirus utrzymuje w zbożu żywotność nawet do 280 dni. Opok depopulacji dzików drugim koniecznym działaniem jest zatem całkowite zablokowanie importu pasz i zbóż z Ukrainy

Nasze rolnictwo jest pod ścianą i nie można się zachowywać, jakby parę świnek dostało lekkiego kaszelku, a wszystko zdarzało się przedwczoraj. Mówimy o latach zaniedbań, o potwornie rozlanej chorobie niszczącej całą branżę, ale też o stosunkowo prostym, acz radykalnym rozwiązaniu. Zrozummy, że populacja dzików jest w Polsce sztucznie utrzymywana i może zostać łatwo odtworzona, bez szkody dla różnorodności genetycznej gatunku. Jeszcze prostsza jest blokada sanitarno-weterynaryjna granicy z Ukrainą. To jest naprawdę prosty rachunek – albo zdepopulujemy dziki, albo zdepopulowane zostanie polskie rolnictwo.

Autorstwo: Konrad Rękas

Źródło: NEon24.pl